



5th Mózg Festival

INTERNATIONAL CONTEMPORARY MUSIC & VISUAL ARTS FESTIVAL

www.mozg.art.pl

jednodniówka festiwalowa - 27 listopada 2009

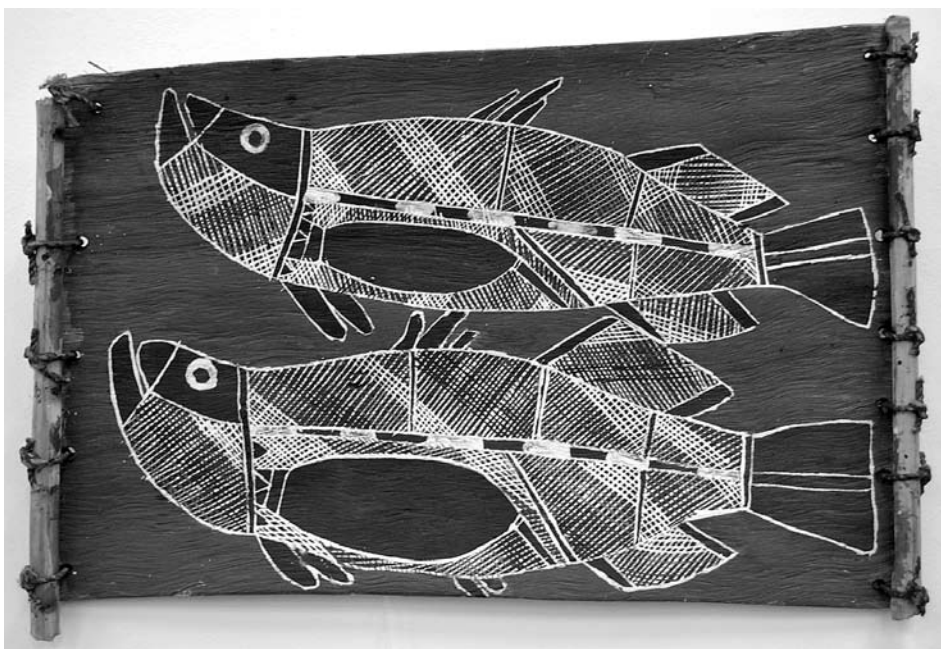
DEŁE I PUNKTOWE FORMY

tekst: Mikołaj Zieliński, Joanna Pluta

zdjęcia: Krzysztof Pawłowski

SZTUKA Z DALEKA Z BLISKA

Drugi dzień Mózg Festivalu rozpoczął się pod znakiem sztuki aborygeńskiej. W Galerii Miejskiej bwa nastąpiło otwarcie wystawy malarstwa Aborygenów australijskich. Wystawę otworzył dyrektor Wacław Kuczma, po czym głos zabrał dyrektor festiwalu Sławek Janicki i zostały wyświetlone dwa filmy: pierwszy zawierający komentarz Andrzeja Janczewskiego, kolekcjonera sztuki aborygeńskiej, z którego zbiorów pochodzą dzieła prezentowane na wystawie; drugi prezentujący komentarz Djona Mundine, pisarza, kuratora wystaw i teoretyka sztuki aborygeńskiej, który z powodów zdrowotnych nie mógł zjawić się na festiwalu, a który w swym komentarzu m.in. zwrócił uwagę na aspekt wyrażania w prezentowanym malarstwie związku ludzi z lądem, ich związków między sobą oraz duchowością kosmosu. Następnie o sztuce Aborygenów opowiedział na żywo John von Sturmer, wykładowca uniwersytetów australijskich i performer. Sturmer zaznaczył na wstępie, że jest to dla niego dziwne wydarzenie komunikacyjne – opowiadać o owej sztuce ludziom operującym zgoła innym językiem, którą to niedogodność rekompensował jednak językoznawca Rafał Żimny, tłumacząc zebranych jego słowa na język rodzimy. Podczas swego wykładu John von Sturmer wspominał m.in. o obrazie jako



John von Sturmer i Rafał Żimny

opowieści, w której odbiorca bierze udział, podróżując od punktu do punktu, niejako przywdziewając skórę, jaką stanowi dany obraz. Pośród prac prezentowanych na wystawie, odznaczających się charakterystycznymi motywami kropkowymi czy kreskowymi i nieagresywną kolorystyką osobiście najbardziej przypadł mi do gustu bodaj największy z nich, nazwany Milky Way, autorstwa Gabrielli Possum Nunguryiai. *mz*



Sławek Janicki i Wacław Kuczma



CHROBOTANIE WYŻSZEJ KLASY

Po wystawie przyszedł czas na koncerty odbywające się na sali głównej Teatru Polskiego. Część muzyczną rozpoczął duet Jim Denley (Australia) i Kim Myhr (Norwegia). Muzycy pojawili się dzierżąc instrumenty standardowe – Denley saksofon altowy, a Myhr gitarę klasyczną. Szybko jednak okazało się, iż stosują je w sposób generujący dźwięki odbiegające nieco od kojarzących się zwykle z tymi instrumentami. Myhr ze swojej specyficznie przestrojonej gitary wydobywał frazolety układając je w punktową ciągłość, Denley zaś przetwarzał elektronicznie swoje dęcia i markowane zadęcia okraszone swoistym pohukiwaniem, co tworzyło razem mieszankę chrobotania i jakby wirującego bębna wypełnionego kamyczkami. Po chwili instrumentarium uległo rozszerzeniu. Myhr zaczął stosować ułożone przed nim na stoliku blaszki, brzęczące dzwonki tudzież mały strunowy instrument, po którym przejeżdżał palcami. Do użytku w jego rękach wszedł też smyczek oraz dwa obracające się wiatraczki, którymi traktował z dwóch stron struny nieświadomej niczego gitary, co dawało bardzo ciekawy efekt akustyczny. Denley nie pozostawał mu dłużny, poszukiwał dźwięków w gumie, której jeden koniec przytwierdzony był do saksofonu, a drugi trzymał w ustach. Następnie zabrał się do „odmuchiwania” fujarki i fletu poprzecznego, które jedynie z rzadka wydawały dźwięki konwencjonalne. W tym koncercie, składającym się właściwie z jednego utworu granego bez chwili przerwy, dało się odczuć umiejętne i subtelne operowanie ciszą i zgrzytem. Występ zakończył się cichym brzęczeniem dzwonka, opatrując utwór nastrojową klauzulą. *mz*

INTRYGUJĄCE INSTRUMENTARIUM

Australijsko-norweska „spółka”, czyli Jim Denley i Kim Myhr, pojawiła się tego wieczoru w teatrze jako pierwsza. Po dniu obcowania z różnymi formami sztuki wizualnej, spragniona byłam muzycznych doznań i duet nie zawiódł moich oczekiwań. Na scenie mogliśmy zobaczyć leitmotiv czwartkowego wieczoru, czyli saksofon w rękach Australijczyka oraz gitarę Norwega, a ponadto

zbiór dźwięków wywołujących wiatraczków, niezwykle blaszek i strun oraz dziwną nakładkę na saksofon, wyglądającą jak dość długa gumowa rurka, w którą raz po raz dął Denley. Ten ostatni czynił ze swym instrumentem cuda – począwszy od klasycznego dęcia, poprzez sztuczki z „rurką” aż po opukiwanie go bliżej mi nieznanym przedmiotem. Myhr natomiast w tym czasie grał na gitarze i wprowadzał jednocześnie w ruch wspomniane wiatraczki, blaszki i struny, uzyskując tym samym efekt przypominający brzmienia Dalekiego Wschodu. Muzyka nabierała przestrzennego wymiaru – był to bardzo udany mariaż surowego, chłodnego, chciałoby się powiedzieć norweskiego brzmienia z ciepłym, acz zaskakującym rytmem australijskiego saksofonu oraz fletu poprzecznego, którego możliwości także pokazywał nam tego muzycznego wieczoru Denley. Wzmiankowana już intrygująca rurka nakładana na saksofon powodowała, iż dźwięki wydobywające się z gardła tego artysty brzmiały niczym przetworzone przez modulator głosu. Należałoby jeszcze dodać, iż Kim Myhr, prócz posługiwania się z niezwykłą fantazją opisanym już instrumentarium, użył do tworzenia dźwięków także m.in. folii z powietrznymi wypustkami, którą uwielbiałam bawić się jako dziecko, nie sądziłam jednak, że można jej z takim powodzeniem używać jako instrumentu. *jp*

FREEJAZZOWE UKOJENIE



Kontrabasowe szaleństwo i saksofonowe akrobacje to było właśnie to, czego czwartkowej nocy było mi trzeba. Paradoksalnie hałas i pozorny chaos, których mieliśmy okazję zaznać tego wieczoru za sprawą belgijskiego duetu Peter Ja-

cquemyn – André Goudbeek, uspokoiły mnie, wyciszyły. To naprawdę zaskakujące, bowiem ze sceny biła ogromna fala muzycznej energii, poprzecinana krótkimi momentami subtelnych, malarskich wręcz dźwięków wydobywających się z ust Gou-

dbeeka. Saksofonista przerywał na chwilę swe instrumentalne popisy czasem delikatnymi, a innym razem agresywniejszymi okrzykami, słyszalnymi oddechami, co sprawiało, iż cały występ stawał się mistycznym przeżyciem, które stymulowały również zaśpiewy kontrabasisty. Prócz tego, można było również zobaczyć, jak Goudbeek radzi sobie z klarnetem basowym. Peter Jacquemyn, którego zaangażowanie i pasję odczuł sam instrument (w pewnym momencie po kontrabasie poczęły spływać krople potu artysty, sprawiając wrażenie jakoby sam instrument pocił się z wysiłku) nasycił nas tego wieczoru niezwykle dużą dawką swych umiejętności, wirtuozerii i niepohamowanej wyobraźni. Fantazję Jacquemyna można było odczuć w kontrabasowej sekwencji wygrywanej

przy użyciu dwóch smyczków i puszek po Coca-Coli - wtedy to dźwięki osiągnęły taką moc i głębię, których nigdy jeszcze w wykonaniu kontrabasisty nie słyszałam. Gdy zamykałam oczy zdawało mi się, dzięki słyszanym dźwiękom, iż biorę udział w jakimś dzikim pościgu, wyczerpującej gonitwie. Innym razem zaś Belgowie i ich muzyka sprawiały, że czułam się, jakbym siedziała w kameralnym nowojorskim klubie freejazzowym. Sami przyznacie, że daleka to podróż z bydgoskiego Teatru Polskiego. Jednak na taką wyprawę dawałabym się zabierać codziennie, zwłaszcza, że zadziałała na mnie szczególnie dobrze, a jak powiedział ktoś mi bliski i znający mój niełatwy temperament, powinien zabierać mnie na takie koncerty częściej, skoro działają na mnie tak kojąco. *jp*

CIEŻKA CHUDOŚĆ I LEKKA GRUBOŚĆ



Na koniec drugiego dnia festiwalu wystąpił amerykański duet Matthew Shipp i Sabir Mateen. Koncert ten wydał mi się najbliższy korzeniom jazzu, co nie oznacza, że ustępował miejsca poprzednikom. Już od pierwszych fraz dało się odczuć unikatową specyfikę stylu obu muzyków. Matthew Shipp uderzając w klawiaturę fortepianu wydobywał ciężkie, basujące akordy, mieszając je z delikatnymi wirtuozerskimi palcowaniami. Sabir Mateen wtórował mu wytwarzając miękkie vibratta na swoim saksofonie tenorowym, by zaraz zagłębić się w buńczuczne pasaże, to wznoszące się, to opadające. Styl Shippa był o tyle ciekawy, że pianista momentami jakby pływał po klawiaturze, po chwili ją masował, zaraz później drapał, przechodząc wnet w groove'owe przebrłoski i dalej w delikatne synkopy. Mateen po raz pierwszy wycofał się pozostawiając Shippa na przedzie, by po chwili powrócić ze zdwojoną siłą i ruszyć w pościg za nieubłagany Shippem, który po chwili odpuścił zostawiając sak-

sofonistę rozsiewającego grupy dźwięków rozchodzących się pogłosem po obszernej sali teatru. Po przejściu Mateena w subtelniejsze dźwięki obaj podjęli znowu wariacyjny dialog, po którym saksofonista nieco się spocił i wycofał ponownie. Jednak pewien pan wyłoniwszy się zza sceny uratował sytuację podając mu ręczniczek różowy niemal tak jak koszulka Shippa. Mateen otarłszy twarz powrócił na klarnecie, który dodał rozwijającej się improwizacji nieco lekkości, wplatając się w huragan wywołany przez Shippa na fortepianie. Drugi temat, który podjęli muzycy ukazał Shippa równie rozjuszonym. Pianista miotał masywne akordy, przechodząc jednak momentami w cichsze motywy, aż po oszczędne szarpanie palcami strun fortepianowych. Mateen ustępował mu na tym polu, robiąc pauzy, lecz po chwili wracając, by dobrnąć wreszcie wspólnie do szczęśliwego końca. Panowie skończyli koncert punktualnie o północy. Jak tego dokonali – nie dowiem się chyba nigdy. *mz*

GWIZDZĘ NA TO

Po dość długiej przerwie pomiędzy koncertem Belgów a ostatnim tej nocy występem (duetu Mathew Shipp – Sabir Mateen) wróciliśmy na widownię dużej sceny TPB. Przy wejściu okazało się, że na wszystkich czekają prezenty (niedorównujące jednak smakowitością wczorajszym jajkom na twardo) a mianowicie gwizdki z papierową adnotacją „Wygwizdź Artystę”. Było to wezwanie Elżbiety Jabłońskiej, której instalację zaraz mieliśmy ujrzeć. A cała sprawa wyglądała następująco: na scenie zawisła biała płachta, na której po chwili pojawiła się artystka we własnej osobie (nieobecna fizycznie, acz w formie krótkiej wideoinstalacji). Obraz przedstawiał Jabłońską stojącą nieruchomo przez kilka minut. Już po chwili usłyszeliśmy odpowiedź na jej papierowe wezwanie i na sali rozległy się głośnie gwizdy widzów, którzy zdecydowali się skorzystać z otrzymanego suweniru [przyznaję, że raz też zagwizdałem, bo chciałem sprawdzić czy w środku kulka się rusza - przyp. mz]. Sądzę zatem, iż cel artystki został osiągnięty, jednakże cieszę się, iż cała sytuacja nie trwała zbyt długo, bowiem publiczność dęła w gwizdki z takim zaangażowaniem, że jeszcze chwila, a głowa by mi pękła od nadmiaru wrażeń. *jp*



I...?

Jeszcze wciąż nam w oczach punkty, w kieszeniach gwizdki i piłeczki pingpongowe, a w uszach saksofoniści z drugiego dnia i słyszymy niesamowicie energetyczne pizzicato Petera Jacquemyna, a tu na horyzoncie dzień trzeci festiwalu. Mamy taką cichą nadzieję, że mimo niezbyt imponującej frekwencji w czwartek nadchodzące dwa dni pokażą, że w Bydgoszczy jest więcej niż dwie garście ludzi zainteresowanych współczesną sztuką...